Nr. 6 Warszawa, 10 Lutego 1912 roku. Rok XLVIII

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.
Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelem lub jego miejsce „za tekstem" kop. 30; ogłoszenie zwyczajne kop. 20. „Nadesłane" kop. 75, marginesy rb. 6. Kolumna rb. 150. Załączniki rb. 6 za tysiąc.
CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ.
Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Cesarstwie Austryackiem: We Lwowie w głównej ekspedycyi „Bluszczu" Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincy z przes. poczt kor. 6.60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.
W W Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego": w Poznaniu kwartalnie 3.60 marek, z przesyłką pocztową 4.30 mk.

KRASZEWSKI.

(W setną urodzin rocznicę).

Kolebka Kraszewskiego nie stała w ubogiej chatce i nie z mlekiem matki wyssał on tę gorącą chęć ulżenia doli cierpiącego i poniżonego ludu;—choć obcy temu ludowi urodzeniem i pojęciami, zaczerpniętymi z tradycyi, blizkim mu stał się sercem, umiłowawszy mocno jego nędzę i hańbę.

Urodzony 28 lipca 1812 roku w Warszawie, dokąd matka jego schroniła się przed okropnościami wojny, w dawnym pałacu Słuszków przy ul. Aleksandrya (w miejscu tem jest dzisiaj szpital dla dzieci), był synem Jana Kraszewskiego, dziedzica na Dołhem, koło Prużan, oraz Zofii z Malskich. Przebieg cały jego życia-od kolebki do mogiły-zbyt dobrze jest znanym z wielu biografii i życiorysów, abyśmy tu szczegółowo opisywać je mieli. Kształcił się w Białej, Lublinie i Swisłoczy, a następnie w Wilnie, i jak sam o sobie powiada, nie należał nigdy do najpilniejszych uczniów: miał bowiem „brzydki zwyczaj uczyć się zawsze nie tego, co było potrzeba, ale ku czemu ciągnęła fantazya i owa nienasycona ciekawość, która ciągnie do piekła; pragnęło się wyprzedzić, nie wlec się powoli, i dużo wałęsało się po bezdrożach".

Od najmłodszych lat autor „Powieści bez tytułu" zdradzał pociąg do pióra, a choć w domu zawsze niechętnem patrzano na to okiem — siła woli, z jaką Kraszewski kroczył po raz obranej drodze, przemogła i zdołała wywalczyć młodemu pisarzowi spokój, ułagodzić najbliższych, przekonać ich, że chlubą, nie hańbą okrył się syn szlachetnego rodu, co miast mieczem—piórem wojował.

Szlachcic kulturalny, jakim był Józef Ignacy Kraszewski z tradycyi, urodzenia i wychowania, pozwolił wziąć przewagę nad sobą demokracie, który przez całe długie życie pozostał wierny swoim ideałom i nie wahał się nieraz nadstawić za nie, w ich obronie, czoła, choć wkoło burza się zrywała.

Głośnym był swego czasu list Kraszewskiego w r. 1858 do marszałka szlachty pow. łuckiego, Wincentego Korwin-Piotrowskiego (ojca Gabryeli Zapolskiej i I. K. Piotrowskiego) w dobie narad w kwestyi uregulowania stosunku do włościan—list, który wywołał protesty i hałasy ze strony współobywateli Kraszewskiego (autor „Ulany" był wtedy kuratorem szkół z wyboru i mieszkał w Żytomierzu), a wprost oburzeniem (najniesłuszniejszem zresztą) i zniewagami odpowiedziano na jego „Listy" do „Gazety Warszawskiej" (№ 54, 1859 r. List II.), w których mówi z goryczą o szlachcie i jej dążeniach, nie skierowanych ku dobru ogólnemu. Listy te sam ich autor nazywa: „vox clamantis in deserto".

Posypały się wtedy na zacnego kuratora głowę gromy: pisano listy, anonimy nadsyłano z pogróżkami—a Kraszewski nieulękły, nieustraszony stał przy swojem mocno i ani na chwilę nie zszedł z obranego stanowiska.

Dr. Karol Kaczkowski, popularny lekarz i szanowany obywatel wołyński, współzałożyciel „Stowarzyszenia księgarsko-wydawniczego" wystąpił bardzo ostro przeciw Kraszewskiemu, walcząc z nim o cześć szlachty wołyńskiej w sprawozdaniu z działalności „Stowarzyszenia", a Marszałek gubernialny wołyński zgromił go listem do „Gazety Warszawskiej"

Jak, kiedy kij wsadzisz w mrowisko, tak się poruszyło wszystko, drobne prywaty odezwały się, zasyczały małe zawiści, poczuli się nagle dotknięci w swej dumie i miłości własnej ludzie płytcy, karły duchowe, pigmeje marni, na których nastąpiła stopa olbrzyma. Zwolna, bardzo zwolna uciszała się ta burza w szklance wody, bo przyznać trzeba, że Kraszewskiemu niezbrakło w tej waśni obrońców, którzy zrazu nieśmiało, potem coraz głośniej jęli się dopominać u ziomków oceny należnej czynów i wystąpień autora „Ulany", a godzi się wspomnieć, choćby tylko o gromadnym proteście najprzedniejszych obywateli Podola, który był odpowiedzią na broszurkę d-ra Kaczkowskiego.

I oto nagle uciszyły się wzburzone namiętności, uspokoiły poruszone umysły—a gdy przyszedł dzień wyborów na kuratora, gdy na salę elekcyjną wpadła młodzież, błagając głosujących, aby nie pozbawiano ich serdecznej opieki, jakiej nie szczędził im Kraszewski—zachwiały się nagle i upadły wątpliwości i z pomiędzy 328 zebranych—zaledwie 60 pozostało zaciętymi Kraszewskiego nieprzyjaciółmi, reszta—nietylko wybrała Kraszewskiego na kuratora na nową kadencyę, lecz jeszcze uchwaliła różne ofiary na instytucye publiczne, o co tak wołał zacny pisarz w swoich „Listach".

Tryumf Kraszewskiego był zupełny. Ale snadź sądzonem mu było, aby nigdy dość kwiatów nie miał na swojej drodze, aby i cierni była tam obfitość. Nienawiść, a raczej zawiść ludzka jak w początkach zawodu pisarskiego, tak i teraz nie dawała mu spokoju.

Jeszcze, gdy wydawał „Athenaeum" — jedyne w swoim rodzaju czasopismo, które układało się w głębi pustek i lasów wołyńskich, w Gródku, drukowało w Wilnie, a miało współpracowników, rozrzuconych po całym świecie — i wspólnie z Rzewuskim i Grabowskim gorąco brał się do budzenia śpiących umysłów — z tych lub owych powodów zyskał wielu niechętnych, a i później nieraz nie dawano mu spokoju, dość wspomnieć wystąpienia osławionej Zofii z Brzozówki oraz „Pamiętnika naukowo-literackiego", pod redakcyą Romualda Podbereskiego, „Gołębia" i „Papugi europejskiej" (wydawcami-redaktorami byli Napoleon Klimański i Grzegorz Lubecki) — którzy to nieprzyjaciele nie wahali się zarzucać twórcy tylu arcydzieł że „taczka, do której się przykuł — tylko truciznę rozwozi."

(D. c. n.) *T. Kończyc.*

WIKTOR GOMULICKI

CIEŃ.

(HISTORJA DUSZY DZIECIĘCEJ).

6)

VII.

Hasać, jak żrebiec na łące, wśród czeredy rówienników rej wodzić, a potem uciec od nich i w głuszy leśnej, w ogrodowej altanie, na bezludziu zamarzłej rzeki, w pustym oddalonym pokoju, z książką, lub bez książki, w marzeniach i rozmyślaniach aż do utraty świadomości zatonąć — to był zwykły rytm twego życia. Nieprawidłowy może, ale powtarzający się prawidłowo.

Namiętny byłeś i zajadły: zarówno wówczas, gdy chodziło o zwycięstwo w ekstramecie, lub palancie, jak gdy na poddaszu otoczonego rozproszonymi tomikami „Tysiąca i jednej nocy" dręczyła żądza pochłonienia wszystkich w ciągu godziny.

Czary zimnego księżyca, brylantowe pałace zimy, sny lunatyczne na tle wielkich płaszczyzn lodowych, nie zabrały ci duszy na własność. Byłeś także kochankiem słońca, wiosny, kwiatów, nieba żarem ziejącego i chłodnej bieżącej wody.

Woda nęciła cię nad wszystko; jakby żywiołem twoim była. W twojem umiłowaniu wody mieściło się coś więcej, niż poczucie piękna pejzażowego, lub pociąg swawolnika do kąpieli i rybołóstwa.

Latem, tyleż czasu spędzałeś w wodzie, jak na ziemi.

Stworzeniem ziemnowodnem nazwał cię za to nauczyciel zoologii. A od jego towarzysza, nauczyciela, „wymowy i poezyi" dostałeś miano: trytona.

— Dajcie mu konchę—mawiał on ze zwykłym sobie patosem — a z fali pienistej wyłoniony trąbić będzie grzmotliwie na pobudkę Nerejdom, na chwałę Neptunowi!...

Żart starego klasyka podobał się tobie. Wziąłeś go za prawdę; dumny zeń byłeś. W tym czasie łatwo wmówionoby w ciebie, żeś król, żeś ptak, żeś cudotwórca. Wszystkiem tem zresztą naprawdę byłeś — w tym samym stopniu, co don-Kichot błędnym rycerzem, wybawcą niewolników, obrońcą księżniczek, nieustraszonym junakiem, mocarzem, przed którym wszystkie narody drżały.

O trytonach jużeś wiedział. Nosiłeś w duszy plastyczny ich obraz, z „Przemian" Owidjuszowych, z „Eneidy", z „Iliady" wysnuty. Z poezyą klasyczną, z Olimpem, z wyprawami bogów na ziemię już byłeś obeznany. Obok „Tysiąca i jednej nocy", nie brakło na strychu małych tomików z przekładami Dmochowskiego i Kicińskiego...

Więc płytka odnoga rzeki, gdzieś moknął dniami całymi, wydawała ci się często bezkreśnym oceanem. W lekkiem chybotaniu się wody, rękoma twemi wzruszonej, widziałeś „fale grzywiaste, z jękiem roztrącające się o piasek..." Gotów też byłeś przysiądz, że o zachodzie nie pastuch przepędza bydło przez wodę, lecz na rydwanie, przez delfiny ciągnionym, pławi się sam Pozejdon, z groźnym w dłoni trójzębem.

Trytonem byłeś i rzeką władałeś. Żadnych też ona przed władcą swym tajemnic nie miała.

Franciszek z Assyżu do zięb, pliszek, makolągw przemawiał: — Siostry moje... Z równą słusznością mogłeś był nazywać kiełbie, karasie, okonie — nawet raki i miętusy — „braciszkami". Ze wszystkiem, co żyło na dnie rzeki, w zagłębieniach urwistych jej brzegów, wśród zielsk wodnych, drżących pod falą, jak rojowiska żmij i polipów, zbratany byłeś, jak z rodzeństwem. Nie tylko zwyczaje i obyczaje stworzeń wodnych, lecz nawet ich domowe, najprywatniejsze życie tajemnic dla ciebie nie miało.

Znane ci były igraszki tłustych, kluskowatych, napół przezroczystych kiełbi, które w miejscach płytkich o dnie piasczystem, lubią płynąć pod wodę i główkami dołki w piasku wiercić, a potem wtulać się w te dołki i siedzieć w nich cicho, falom unieść się nie dając.

Wiedziałeś o łakomstwie głupich, zawsze głodnych płotek, bezmyślnie rzucających się na pierwszą lepszą, nawet fałszywą, przynętę. Dość było cisnąć na rzekę skrzydło chrabąszcza, okruch bułki — ba! piasku garstkę, lub papieru kawałek — żeby zaraz pod samą powierzchnię wypływały całe ich roje. Najżarłoczniejsze bywały o zachodzie słońca: dość było wówczas zarzucić wędkę z kawałkiem muchy, lub innego owadu, aby natychmiast wyciągnąć niewielką, płaską, srebrzyście połyskującą rybkę. Płotki to *plebs* narodu rybiego.

Twoje oczy badawcze, czujne, wszędzie zazierające, podpatrzyły miętusa, który w błotnistych zatokach czołga się po dnie mulastem, a czasem pod sam brzeg podpływa, poruszając chytrze włóknistymi wąsami, jakby mówił: —Weźcie mnie—taki-m do schwytania łatwy...

Podstępne, ostrożne, z instynktami zbójeckimi, okonie i jazgarze niemało cię utrudziły. One także bystrej wodzie niechętne, splątanych zielsk lubiące kryjówki, najeżone ostremi, jak noże, skrzelami, czerwono-żółtoczarne, rozmiaru niedużego, a złe, zajadłe, krwiożercze. Z trudem wyławiałeś je z dołów głębokich, obciążoną ołowiem przynętę, aż na dno samo opuszczając. Rzucały się, jak wściekłe, kurcząc się, w trąbkę skręcając, nadstawionymi kolcami grożąc.

Zgrozą, lecz i czcią tajemną przejmował cię król-despota rybiego narodu: szczupak. Śledziłeś pilnie, częstokroć z narażeniem się na utonięcie, jego zdradne, chytre, tajemne chody. Na zaczajonego w kotlinie wodnej zbója częstoś naprowadzał rybaków z niewodem, niby policyę na opryszka. Dumnyś był i zadowolony jako rybołówca, a zarazem jako przyjaciel i „braciszek" wszelkiego stworzenia, gdyś widział centkowanego potwora z wydłużoną, zębatą paszczą wyciągnionego na ląd, szamocącego się bezsilnie w okach mocnej sieci.

Prawie zawsze w rozpłatanym brzuchu tyrana znajdowano jedną, lub dwie ryby przezeń pożarte. Raz z łona szczupakowego wydobyto przy tobie sporego okonia, a gdy i on zkolei został rozkrajany, znalazła się w nim mała płotka. Byłeś tego dnia bardzo smutny. Odsłoniła się przed tobą jedna z ponurych tajemnic życia: powszechnego pożerania się, prawo.

To, co ciągnęło ciebie do rzeki, nie było ani namiętnością rybołowca, ani pedantyczną ciekawością przyrodnika, ani skłonnością do myślowych zagłębiań się filozofa. Zachwyt poety i podziw dla Najwyższej Mądrości, przez przyrodę przemawiającej—odgrywały tu pewną, lecz nie wielką rolę.

Poczucie łączności z przyrodą, braterstwa z każdym z jej żyjących tworów — oto, czem się w tym razie, instynktownie zresztą, rządziłeś.

Wydawało ci się niekiedy, że i ryby płacą ci wzajemnem przywiązaniem. Gdyś na brzegu rzeki, lub na wychylonej z jej nurtu mieliźnie, stał, siedział, lub leżał (leżeć nago na piasku, przez słońce wygrzanym, było jedną z twych rozkoszy), i w wodę się wpatrywał, mniejsze i większe ryby podpływały w to miejsce i stały długo, jakby wyglądając: co im dasz, lub co im powiesz. Może mógłbyś był wówczas ręką je chwytać... ale myśl o zdradzie na chwilę w tobie nie postała.

Zato zazdrościłeś im często, a znów niekiedy—żal ci ich bywało...

W jednem miejscu, tuż nad rzeką, obwisłe gałęzie w jej falach nurzając, rosła płaczących wierzb kępa. Była tam toń głęboka, zawsze cieniem nakryta i chłodna. W ziejące żarem południa letnie, ryby całymi rojami w ten chłód zielony i w ten kryształ wodny, lekko marszczący się, uciekały. Jakże im było nie zazdrościć!

A ciche, ciepłe, różowo-złote przedwieczerza, najświąteczniejsze dla rzeki i jej mieszkańców chwile? Płaty złota i purpury leżą na falach, kołyszących się spokojnie, w rytmie coraz powolniejszym, niby rozmodlone, niby zadumane, niby w marzeniach tonące. Z miasta płyną, i falę, jakby brzeżkiem skrzydeł muskają, powolne, przeciągłe, głęboko smutne uderzenia dzwonu. Za umarłych dzwon się modli: za tych, co w niewoli, do Ojczyzny tęskniąc, pomarli; i za tych, co na cudzych rozłogach, albo i we własnych lasach, Ojczyzny broniąc, padli; i za tych, którym mór, głód i gorszy od nich dwojga, ducha ucisk śmierć przedwczesną zgotował. Zasłuchana jest toń wodna w te głosy, i ty, cieniu drogi.

(d. c. n.)

□□□□□□□□□□□

KOLEŻANKA STEFA.

Księżyc, zasnuty siatką mgieł liliowych, ślizgał się po murach domów, spiętrzonych nad kanałem. Szumiało w dole: turkot, tętent, gwar, śmiechy. Tu serenada pod oknami bladej Szwedki, w której kochało się pięciu rosyjskich studentów; tam — bębny, piszczałki, flety i gwizdki Armii Zbawienia, idącej na połów dusz po-

tępionych... A ponad wszystkiem — noc jasna wiosenna, a pod okiem nocy rytmiczny, miarowy plusk wody w kanale...

Po przez wrzawę uliczną, z piersi rozkrzyczanego miasta, z nurtów rozpluskanej wody, ze światła gwiazd, kołujących w przestworzu, z anemicznych blasków księżyca, szła na niego i na nią tęsknota.

— Wiesz, czuję w tej chwili zapach łąk. skoszonych...

A mnie wyraźnie, najwyraźniej, mignęło przed oczami żółte pole, takie, nad którem— po nocy — zdają się włóczyć duchy białe...

— Co będziesz robił, jak wrócisz?

— Co ty będziesz robiła?

Roiły się projekty, padały plany, walił taran za taranem.

Oświata... proletaryat... burżuje... rumowiska przeżytków... precz ze zgniłym ustrojem!... ludzkość... odrodzenie... przeszacowanie starych wartości...

W mózgach buchały płomienie i szły dreszczem oczekiwania, nadziei, wiary. Płonęły oczy, rozprężały się ramiona.

— Stefa, ciebie na barykadę!... Tłum pójdzie za tobą...

Patrzyła na niego długo, przenikliwie.

— Ale ty, czy nie oderwiesz się od tłumu?

Gwar uliczny przycichał, serenady milkły, księżyc chował się za gazę chmur, gasły światła w oknach domów, gdy bury Ed wychodził —bez pożegnania, jak wchodził bez przywitania, zabierając z sobą to, co zostawiał: dwugłos jednej duszy...

Na wiosnę przed egzaminami czwartego semestru, „banda" zorganizowała wycieczkę do francuskiej Szwajcaryi. Patronowali „Burscy", t. j. Stefa i „bury Ed;" sekretarzował „Słoń", młody prawnik, przyszły polityk dyplomata. Skarbnikiem mianowano finansistę „Bułę", który, dostając od matki 50 fr. na miesiąc, zaoszczędzał dziesięć. Do rozweselania towarzystwa był „Mólik"—Górska, jej satelita z przyrody, „Netor", tenor liryczno-dramatyczny, który po skończeniu kursów miał jechać do Włoch na studya wokalne; „Myszka" i „Muszka" siostry medyczki, wreszcie matematyk-mandolinista „Kamyczek" Stein.

Dziesięć dni wagarów! — Cały Leman wzdłuż i wszerz!—Ostatni etap—Genewa!

Maj wyczarował najróżowsze świty, najzłocistsze południe, najsrebrzystsze noce, gdy włóczęga parowcami, pieszo, koleją dobijała do kresu.

W Genewie postanowiono zabawić się w burżujów.

Buła zadeklarował dwieście franków we wspólnej kasie, więc — precz z noclegami po tanich chłopskich oberżach. Hotel, jak się patrzy: materace sprężynowe, widok na jezioro; kobiety w jednym, mężczyzni w drugim numerze; obiady i kolacye conajmniej „Pod krokodylem"!... Wieczór w Kasynie i każdy dostaje po franku na ruletę.

Kamyczek z mandoliną, Mólik z cytrą, Buła z kijkiem w rodzaju batuty, poszli zamawiać numery dla... cyrku z Psiej Wólki...

Słońce zachodziło. Deszczem róż padły na Leman ostatnie promienie; płatami śniegu rozkołysały się na nich stada mew. Łodzie odbijały od brzegów: zakochana para w każdej... W mgłach po rosie drżały serenady. Na dydze, wprost kasyna, cichutko, bez szelestu drzemały platany: cztery w dwóch szeregach, a zdaleka — jak jeden wielki bukiet chryzolitów.

Cyrk zbił się cały w pokoju kobiet. Kamyk brzdąkał na mandolinie. Nestor mruczando zawodził piosnkę, skomponowaną przez Bułę na cześć jednej z sióstr medyczek.

— O czem Mysza marzy? — O czem Mysza marzy?... O tym złotym hrabiu, o tym złotym hrabiu, co się może zdarzy..."

Rabin Stefa patrzyła w maj, rozedrgany purpurą, seledynem, przezroczystym, jak kryształ, ametystem—na cichej łusce jeziora.

— Patrz, — trąciła ją Muszka — te platany tam, na dydze, to uroczysko zakochanych... Podejść do nich — znaczy zginąć z miłości... Niema miesiąca bez jednej, dwóch, trzech ofiar...

Zapatrzyły się w popielatawą szarość, przyczajoną na skrajach widnokręgu i w rozsrebrzone mgłą rośną platany.

(D. c. n.) *C. Walewska.*

□□□□□□□□□□□□□□□□□

TADEUSZ KONCZYŃSKI.

ZAWROTNE DROGI.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

W parku Monceau o zmierzchu, kiedy umierały czarodziejskie barwy zachodu, zdobiące w płonące pióropusze wierzchołki drzew — ich dwoje wsłuchiwało się w cichą przepojoną rozkoszą, melodyę wieczoru.

Szli ramię przy ramieniu, czując przenikające ich nawzajem ciepło tętnic i przemoc miłości, która dnie i godziny uczyniła im wspólne, a nawet myśli nierozerwalne.

Niebieskie mroki, które ze wszech stron szły na nich, otaczały ich aureolą mglistą, iż byli podobni duchom, płynącym w chmurze przezroczystej, pełnej światła i błękitu.

— Cezary — mówiła Wanda głosem przyciszonym ze wzruszenia — mam wrażenie, jakbym zaczęła życie na nowo. Wszystko, co stało się kiedyś przeze mnie lub dla mnie, wydaje mi się tak bardzo dalekie, jakby z innego świata. Zdaje mi się, jakbym za sobą zostawiła ląd pełen cierpień, a tu teraz z tobą jestem na zaczarowanej wyspie pełnej szczęścia i blasku.

— O tak, Wando, tak — zapewniał ją Wańkowski — ulegam temu samemu złudzeniu. Może mniej myślę o niem, niż ty, bo pochłonięty jestem swoją pracą, ale ilekroć razy spojrzę na ciebie, ilekroć razy pieszczę cię, przychodzi mi myśl, iż to sen, a nie rzeczywistość.

Wanda spojrzała mu w oczy ciemnym błękitem swych źrenic.

— A jednak to rzeczywistość — szeptała— tak prawdziwa, tak dotykalna, jak twoje ramię, o które opieram się teraz z całą słodką niemocą. I w tem rzeczywiście całe nasze szczęście, ogromne, nieogarnione...

— Mówisz, jak bogini... szczęście ogromne nieogarnione.

— Bo tylko takie rozumiem — tłómaczyła się gorączkowo — szczęście, które nie ma początku ani końca, szczęście, w którem gubi się człowiek aż do zupełnej utraty pamięci, aż do najwyższej ekstazy... przestać żyć życiem rzeczywistem, a zacząć żyć tem życiem, które jest snem, pół jawą, błękitną złudą... przestać cierpieć, przestać sięgać pamięcią do tego, co boli, przestać żałować, tęsknić, rozdrabiać się na sentymentalne błahostki, ale tak mocno, tak jedynie zatopić się w tem jednem uczuciu, w tej jednej potędze, która nazywa się miłością... Unicestwić się w tem, jaką się było, stać się fanatyczką radości i módz dzwonić, dzwonić głośno, głośno, tak, aby cały świat słyszał, że w sercach naszych zaczęło się cudne misteryum.... O, bo tylko w takiej miłości, jaką my znamy, rodzi się w człowieku boskie zapomnienie o przeszłości i najwyższa harmonia — — —

Rzeźbiarz, uderzony jej słowami, nie mógł zataić zdumienia.

— Wanda zupełnie mówi tak — pomyślał błyskawicznie krótko — jakby była kobietą z mojej rzeźby... szał miłosny, który marzy o swej królewskiej wielkości...

Lecz ona właśnie nachyliła się ku niemu.

— Kochasz? — zatrzepotało pytanie na jej wargach.

— Kocham do szaleństwa...

— Jak dobrze tu w tej ciszy — —

— Siejesz czar szczęścia, jak złotowłosa nimfa...

— Ach... gdybym była nimfą...

— Cóżbyś uczyniła?...

— Wzięłabym cię w ramiona, osnułabym srebrną pajęczyną, zwołałabym jeden tysiąc narcyzów, położyłabym mojego królewicza na ich upajających główkach i kazałabym im iść za sobą daleko — daleko — na kraniec świata, i szedłby za mną rydwan z tysiąca narcyzów — i na nim ty, ty — — po łąkach uśpionych — po złocistych stawach — przez całą noc przy księżycowej kapeli — — ażby świt pierwszy błysnął — trącił nas — i wszystko zniknęłoby jak sen — i my razem ze snem...

— Aby już nie zaznać więcej szczęścia?— zapytał.

— Jeżeliby to było najwyższe i najpiękniejsze jakie można osiągnąć — mówiła cicho — najlepiej byłoby zniknąć na zawsze jak mgła, lekko jak światło księżyca rankiem... aby nie obudzić się na owo brzydkie codzienne życie...

— Ale to brzydkie życie to rzeczywistość— dorzucił.

— Rzeczywistość stwarza człowiek — broniła się — może więc stworzyć taką, jaką chce... choćby za cenę życia... Dojść do ekstazy abso-

lutnej i już nie obudzić się nigdy, to także rzeczywistość...

Zawiesił na niej wzrok przeszywający.

— Choćby za cenę życia?...

— Tak — szepnęła z uśmiechem.

— Dlaczego, aż tak okropnie?

— Marzenie, Cezary, marzenie! Opowiadam ci moje sny o szczęściu, nigdy nie spełnione. Rodzi je we mnie obawa, iż kiedykolwiek prysnąć może czar i zacznie się bolesna wiwisekcya przeszłości...

— Cicho, cicho... pijmy ze szczęścia kielicha.

— Kochasz?

— Kocham...

Nad ich głowami chwiała się niebieskawa aureola mgły... błękitne cienie nocy osnuwały ich ramionami długiemi, pełnemi aromatu i ciepła.

— — — — — — — — — —

(d. c. n.)

□□□□□□□□□□

Hugo von Hofmannsthal.

Ów brak „kulturalnych celów" uważano za swojego rodzaju arystokratyzm ducha, za swojego rodzaju wyższość nad zwykłymi „apostołami, bakałarzami, popularyzatorami sztuki." Drwiono z artystów, którzy „chcieli świat zbawiać." Złośliwe uwagi wygłaszano pod adresem „radcy tajnego" Goethego, a już zupełnie nihilowano „rudego agitatora Szyllera". Jeszcze dziś ten wstręt do „agitatorów" przejawia się niekiedy w bardzo hałaśliwej formie. Poeta-dramaturg Herbert Eulenburg uważał nawet za takt ze swojej strony na obchodzie jubileuszowym Szyllera powtórzyć te wszystkie „anti-agitatorskie" komunały i części prasy podobała się odwaga tego benjaminka lipskich kupców i bankierów. Jak jednakże wszystkie te „odwagi" pełne słowa są puste, dosyć jest przeczytać tę mowę p. Eulenburga. Formalizm estetyczny, dziś w nauce absolutnie przezwyciężone stanowisko, w najbardziej prymitywnych imperatywach stosowany, ma być busolą prowadzącą w tragiczne wnętrze autora „Zbójców", poety „Intrygi i Miłości".

U Hofmannsthala, jako przewódcy tego kierunku, występują w zdecydowanej formie wszystkie te rozkaźniki twórczości. Żyje on psychiką swoją we wszystkich przeszłych kulturach, chętnie powraca do tragików greckich i tłómaczy ich tematy na języki współczesnej „sztuki dla sztuki". Zaciekawia go więcej nerwowa perwersyjność Elektry, niż dramat jej psychiki na tle moralnem, które to przecież jest podłożem tej psychologii. Problemat jednak człowieka, jakbyśmy nie odżegnywali się od „kulturalnych celów", w dramacie, jako zagadnienie pewnej walki między światem myśli i czynu, ideału i popełnionego faktu, indywidualnego przykazania i „mądrości" środowiska istnieje sam przez się, gdyż bez tych przesłanek, niepodobna wyobrazić sobie dramatu. I dlatego to kanon poezyi — słów upada zupełnie w praktycznem zastosowaniu do jakiejkolwiek z form twórczości literackiej. (Estetyka „formalna", według niektórych teoretyków ma wartość, jako wyjaśnienie tylko w sztuce dekoratywnej, lub też w muzyce, lecz nigdy w poezyi, nigdy w dramacie). Nie chcę przez to powiedzieć, że sztuka musi się oddać na usługę jakiejś nazewnątrz stojącej doktrynie. Chodzi o to, by sztuka paralelnie z całym rozwojem kultury, w każdy moment stawania się świadomie, tworzyła swoje własne doktryny. I wtedy będą te doktryny kulturalnemi, gdyż nie będą strusio zamykały oczu przed kipiącem, walczącem życiem, lecz na swój sposób będą walczyły również o swoją życiową rzeczywistość. U nas, w Polsce jak to już wyżej zaznaczyliśmy, modernizm był taką „doktryną". Szkoła Hofmannsthala, niestety tylko znów w sensie formalnym może być zaliczoną do „doktryn", gdyż właściwie była ona kapliczką kilku pisarzy, którzy nie odgrywali żadnej roli na forum życia kulturalnego. Ria Classen, krytyk, nazwał tę szkołę kierunkiem tylko dla zamkniętego koła. „Nie jest bowiem łatwo, jak twierdzi on, wyrazić, w czem istnieje właściwie nowość tej sztuki w stosunku do przeszłej (Es ist nicht leicht rauszudrücken, worin denn das völlig Andersartige dieser Kunst gegen all unsere frühere Dichtungskunst besteht).

Gdyż jeżeli weźmiemy punkt widzenia Hofmannsthalistów w stosunku do rymów, to wiemy, że wykwintnie rymowali już i Liliencron i Hebbel, Nowalis i... Goethe. Drugi czynnik, który odgrywa u nich decydującą rolę, a mianowicie ekspresyjność, też nie jest nowością, gdyż nazwisko Henryka Heinego wystarczy za najdoskonalszy dowód.

A teraz zapytamy, co dał poezyi niemieckiej Hugo von Hofmannsthal, jako indywidualność artystyczna? To jest właściwie naszem zadaniem. Spójrzmy więc w duszę tego wykwintnego arystokraty-samotnika, tego von Hertensteina-Hofmannsthala.

W dorobku artystycznym swoim posiada Hofmannsthal napisany w roku 1893 dramat „Głupiec i Śmierć". (Der Narr und der Tod.) Już sam opis sceny opowiada, wyjaśnia nam psychikę człowieka, który zamieszkuje te pokoje. Apartamenta w stylu „Empire", starożytne instrumenty muzyczne, oszklone pudełko z starożytnościami, prawie czarny obraz włoskiego majstra", a przytem jasny „grundton", tapety ze sztukaturą i złotem. Jak widzimy środowisko niebyle starożytne, chodzi o pewną harmonię kolorów, o całość sceniczną, która dawałaby wrażenie spłowiałego gobelinu. Człowiek, którego pokaże nam autor, będzie również, jak ów gobelin. Tragiczna pustka powieje z słów jego, skarga wywoła rewię zmarłych widm. Zjawi się trup matczyny, później kochanka, później jeszcze przyjaciel młodości i zostanie się tylko jedna, jedyna konkluzya:

Da, da! und alles andre ist wie das!
Ohn'Sinn, ohn'Glück, ohn'Schmerz, ohn'Lieb,
[ohn'Hass...

Życie całe bez sensu, szczęścia, bólu, miłości, i nienawiści — głupie, minione życie! Jak załamywanie zrozpaczonych rąk rytmicznie przyśpiewuje tu pustka i wyciąga ramiona tęskniące w nieokreśloność. Ach, gdyby tylko można było znaleźć ów kraj pewności, kraj obiecany!? I odpowie mądra śmierć — należało żyć. Znów w odpowiedzi zagadka, wiecznie tajemnica za tajemnicą, a więc może zrzec się pragnień, zrzec się życia, pozostać widzem?

Gdybyśmy chcieli utożsamić sens jego dramatu z istotą ludzkiej psychiki Hofmannsthala, to znaleźlibyśmy może zaprzeczenie jego teoryi słów dla słów, lecz za to z poza tej teoretycznej zbroi wyjrzała by ludzka twarz, oblicze dekadenta, roztęsknionego nostalgisty, choć zbroja składa się ze śpiżu. Ta zbroja przykryć miała serce i mózg, by czytelnik nie domyślił się, że właściwie to serce i ten mózg jest podstawą, źródliskiem wszystkiego, co ludzkie. Sztuka więc również powinna by w tem sercu poszukać swoich korzeni, lecz Hofmannsthal zakrywa przyłbicę i dumnie oświadcza, że dźwięk jest tu wszystkiem. Ten czy inny stosunek do świata, to wszystko jedno, artysta nawet nie potrzebuje sobie go uświadamiać, musi mieć tylko poczucie formy. Ale nawet tak rozumiane zagadnienie psychiki twórczości jest dla Hofmannsthala „małpiem doszukiwaniem się." Poezya jest przecież tylko „tkaniną słów."

(D. n.) *Eustachy Czekalski.*

□□□□□□□□□□

Z TEATRU.

LENA, dramat 5-aktowy Maryana Jasieńczyka.

CHLUBA NASZEGO MIASTA, 5 odsłon Gustawa Wieda, komedya.

UCZEŃ SZATANA, dramat, 6 odsłon, Bernarda Shaw.

25-lecie K. KAMIŃSKIEGO.

WYSTĘPY WYSOCKIEJ: Lilla Weneda, Sędziowie, Klątwa, Zaczarowane Koło.

ELEKTRA, tragedya w 1-ym akcie Hoffmannsthala.

BAJKA, poemat w 1-ym akcie Andrzeja Niemojewskiego.

NAPOLEON I JÓZEFINA, komedya Bahra, w 4 aktach.

Ostatni tydzień przyniósł nam w teatrach dużo nowości, dużo świąt i dużo niespodzianek. Dla teatromanów był tydzień ubiegły istnym karnawałem. Od jubileuszów do wspomnień pośmiertnych, od tragedyi do farsy — wszystkiegośmy mieli dosyć. Dyr. Teatru Małego silniej, niż kto inny odczuł stratę kolegi po piórze Maryana Jasieńczyka Karczewskiego, bo żaden teatr nie zdobył się na ofiarne przedstawienie dla uczczenia zgasłego niedawno pisarza, tylko Teatr Mały.

Jasieńczyk nie miał poważniejszych zasług dla sceny. Raczej w powieści dał rzeczy lepsze. („W Wielgiem"). Sławę jednak zrobił mu teatr, mianowicie „Lena", dwadzieścia kilka lat temu wystawiony w Rozmaitościach melodramat, który miał wielkie powodzenie, jedynie dzięki nadzwyczajnej grze Wisnowskiej. Tak przynajmniej niesie tradycya. Wisnowskiej nie znałem. Ale i gra p. Janiny Szyllinżanki była wielce wdzięczna. I z partyi męzkich nader szczęśliwa kreacya p. Szarskiego i charak-

terystyczna interpelacya p. Grabowskiego nie uratowałaby wypłowiałego melodramatu, konstruowanego słabo, bez głębszej psychologii.

W innym teatrze prywatnym — „Zjednoczonym" przy ulicy Bielańskiej po 6-tygodniowem nieustającem graniu „Wesela", czem trupa ta doskonale się Warszawie przysłużyła kulturalnie i zyskała sobie najsympatyczniejszy stosunek krytyki do siebie — wystawiono, dla odpoczynku nerwów, — „Chlubę naszego miasta", — groteskę obyczajową, Gustawa Wieda, autora duńskiego. Komedya ta jest swego rodzaju „Moralnością pani Dulskiej". Fabuła nikła, prawie żadna, ale za to przebogata kanwa życia małego miasteczka dostarczyła autorowi ogromnego pola popisu w charakteryzowaniu tła kołtuństwa duńskiego, które niedaleko od polskiego odbiegło, a które obfituje w prześmieszne figury.

Trupa „Teatru Zjednoczonego" robi wrażenie naogół niezmiernie dodatnie, a to dzięki zapałowi młodości, jaki wyczuwa się w grze ich. Nie grają z łaski, tylko dlatego, że sztukę umiłowali, nie „raczą" grać, lecz pragną, i to ich różni od wielu tuzów scen stołecznych.

A przytem mają pomiędzy sobą nietuzinkowe talenty, że wymienię choćby Zelwerowicza, Orlińskiego, Trzywdara. W sztuce Wieda szczególniej ten ostatni dał epizodyczną postać nauczyciela ludowego tak doskonałą, że zaliczam ją do najlepszych, na scenie widzianych.

I znów do innego przenosząc się teatru, do Rozmaitości tym razem, ujrzeliśmy nową dla Warszawy sztukę, ograną już na Zachodzie bez powodzenia — a mianowicie: Ucznia Szatana Bernarda Shaw (Devil's Disciple). Nieraz to już pisaliśmy na tem miejscu, że niepojętą jest rzeczą, dlaczego wystawia się u nas rzeczy obce liche. Bo że czasem oryginalną rzecz słabszą zdarzy się w Rozmaitościach grać, to nic w tem strasznego. Naprzód — pomyłki bywają możliwe, następnie, autor polski ma prawo wejść na scenę polską zawsze. Jeżeli młody — to musi przecież od czegoś zacząć, jeżeli starszy i już wystawiał rzeczy dobre, to mu to wybaczą. Ale dlaczego popularyzować obce lichoty, które przeszły już ogień premier— i—spaliły się?

Nazwisko Shaw zasugestyonowało widocznie jubilata p. K. Kamińskiego, który tę sztukę wybrał sobie na benefis.

„Uczeń Szatana" — to melodramat w sosie farsy, coś arcyniestrawnego, na tle wojny wyzwoleńczej Ameryki.

Bohater — to paradoksalna koncepcya człowieka teoretycznego, urągającego wszelkim uczuciom. Zamiarem widocznym autora angielskiego — było stworzyć antytezę typu angielskiego — mianowicie człowieka, dla którego „Sentiments affairs" nie istnieją.

Zamierzył i chybił. Cała awantura jest nie z prawdziwego zdarzenia, począwszy od kopania matki w 1-ym akcie, kończąc na humorystycznej konwersacyi pod szubienicą — w ostatniej scenie.

I rola „bohatera" nie jest nawet zajmującą rolą dla aktora tej miary, co Kamiński. Kamiński lubi maskaradę, grę efektami, psychologię zewnętrzności, sztuczki i figielki, lubi groteskę i karykaturę.

Przez całe 25 lat swojej działalności na scenie zajmowały go zawsze szczegóły i drobiazgi, nie opanowywał nigdy ról syntetycznie, lecz dawał miniatury, sztychy, portrety, klisze delikatnie grawerowane. Praca jego jest zawsze sumienna i bardzo nakładowa. W grze jego niema improwizacyi, jest za to pewność doskonale obmyślanych, obserwowanych rysów, nie chybiających nigdy.

Wszystkie te zalety robią z niego znakomitego reżysera. To też sztuki, przez niego wystawione, interesują tonowaniem całości, harmonią gry aktorskiej i doborem detalów.

Z innych artystów, odtwarzających sztukę Shaw'a, wyróżniali się: Barszczewska, Mirska, Wilczyński i Owerło.

Jednocześnie z nową premierą na scenie „Rozmaitości", na scenie „Teatru Wielkiego" odbywają się występy największej współczesnej tragiczki polskiej, sukcesorki artystycznej Modrzejowskiej, pani Stanisławy Wysockiej z Teatru Krakowskiego.

Na silne bardzo wrażenia wywoływane jej grą — składają się następujące trzy elementy jej talentu i zdolności.

Naprzód wyjątkowo dramatyczna maska o wielkich, silnych oczach, i głos potężnej mocy o tonach nizkich. Dalej — wielkie przejmowanie się rolą do tego stopnia, że gdy ta aktorka płacze, to płacze łzami prawdziwemi, gdy się gniewa, to furya bije od niej, gdy się boi — to blednie. Wreszcie — zupełne nowoczesne pojmowanie gry psychologicznej, skoncentrowanej, mówionej, bez deklamacyi, niepotrzebnego patosu, wybuchów zbyt częstych i melodramatycznych efektów.

Przedewszystkiem zaprezentowała nam się Wysocka w repertuarze polskim, a więc w Lilli Wenedzie Słowackiego jako Gwinona, w „Sędziach" i „Klątwie" Wyspiańskiego jako Jewdocha i Młoda, w „Zaczarowanem kole" Rydla jako Młynarka.

Odrazu powiedzmy, że jedynie w Młynarce nie była zbyt na swojem miejscu i rola ta nie leży w jej repertuarze. Za to jej „Młoda" i „Gwinona" — to wielkie kreacye artystyczne, które nie zacierają się w pamięci.

Tryumf jednak najwyższy święciła Wysocka nie w Słowackiego i Wyspiańskiego tragedyach, gdzie same dzieła są tak potężne, iż w najgorszym wyrazie aktora robią piorunujące wrażenie, lecz w tragedyi Hoffmansthala „Elektra", utworze transponowanym dość nieudatnie z Sofoklesa i dość nudnym.

Tu dopiero zabłysnął w pełni wielki talent Wysockiej, która przykuć potrafiła uwagę naszą do tej postaci niby realnej Salome, niby symbolicznej Erynii greckiej, w której namiętna pasya zemsty doszła do zenitu.

Ponieważ „Elektra" jest tragedyą jednoaktową, więc spektakl dopełniła „Bajka" Niemojewskiego, wierszem. Jest to udramatyzowana alegorya: Życie zabija Młodość i Szczęście. Najbardziej ujemną stroną tego utworu jest jego prawdziwość filozoficzna, przeciwko której nikt nie może protestować, i która w umyśle naszym, sumieniu i uczuciu nie budzi żadnej zgoła dyskusyi, gdyż wszyscy się z tem zgadzamy i doskonale to — od dzieciństwa nieomal—wiemy.

I znów powracam do Teatru Małego, od którego zacząłem dzisiejszy przegląd teatralny, by słów parę powiedzieć o „Napoleonie i Józefinie", komedyi Bahra.

Jeden z najdowcipniejszych współczesnych komedyopisarzy polskich, autor „Koncertu", sięgnął do skarbnicy nigdy niewyczerpanej Napoleoniady. Skapitulował z wielkości boga wojny, wziął się do jego „małości" i małostek. Ażeby wielbicieli Bonapartego nie urazić, wysłał przed rampę przed podniesieniem kurtyny — Muzę, żeby się wytłómaczyła z takiego oświetlenia bohatera.

Ujrzeliśmy więc Napoleona, gdy jeszcze nie był Napoleonem, tylko jenerałem Bonaparte, niedawno ożenionym z wdową Beauharnais, zakochanym w Józefinie i zazdrosnym jak Otello. Podczas najsroższych bitew we Włoszech rozpacza, że listy od Józefiny nie bywają dłuższe nad trzy wiersze.

Bahr doprowadza nas do momentu, gdy jenerał Bonaparte został konsulem i gdy już przebąkują o tronie dla niego. Gdy w pierwszym akcie zakochany młodzieniec nie myśli jeszcze o karyerze i oddałby wszystko za „szczęście w zakątku", byle z „Nią", dziś — jako konsul Francyi, w wilię królowania, myśl o sprawach państwa, świata całego i własnego majestatu, zabiła w nim miłość do Józefiny, która teraz dopiero ocenia męża i jakże żałuje tych lat, gdy lekkomyślnie traktowała szaloną miłość „korsykańskiego chłopa".

Postać Napoleona, choć tak bardzo intymnie wzięta, tchnie prawdą, jest żywa i plastyczna. Wielce utalentowany aktor p. Jaracz przepyszny dał wyraz tej roli. Za to rola Józefiny — duża, trudna, bogata, nie miała dobrej wykonawczyni w pani Bończy, która nie potrafiła jakoś nadać postaci tej życia, wyrazu, koloru, barw zmiennnych, któremi hojnie autor bohaterkę obdarzył. Przeszkadzały jej w tem braki, których się nie da usunąć, jak twarz zimna, obojętna, brak życia w oczach i akcent mowy nie polski. Wyglądała jednak bardzo Józefinowo.

Gustaw Olechowski.

□□□□□□□□□□

Szpital św. Zofii.

Zapisujemy dziś fakt, w którym zespoliły się: ofiarność, wytrwałość, głęboka wiedza, i najszersze poczucie demokratyzmu.

Wybudowano pałac z balkonami, werendami, wspaniałym westibulem zdobnym w dzieła sztuki i dla kogo?

Dla tych najnieszczęśliwszych z kobiet, które okupując swoje macierzyństwo tysiącem upokorzeń i cierpień, zmuszone są je ukrywać przed pogardą i ostracyzmem ogółu, a także i dla tych, co gnębione ostateczną nędzą w związkach przez kościół i prawo zalegalizowanych, nie posiadają w domu kąta, gdzieby mogły się schronić, dając życie swojemu dziecku.

W imię zasady, że w zdrowem ciele i normalnem społeczeństwie nie wolno jest marnować żadnej jednostki ludzkiej, zbudowano te piękne sale o biało zasłanych łóżkach, opatrzonych rolkami, aby je w każdej chwili można było przesunąć na werandę, ustawiono kołyski, dano wysokie i szerokie okna, przez które jest ciągły przypływ powietrza i światła, zaopatrzono wreszcie szpital we wszystkie urządzenia, odpowiadające najściślejszym wymaganiom porządku i hygieny.

Liczne grono zaproszonych osób oprowadzają dr. Zaborowski i jego żona, znana także i gorliwa działaczka społeczna na polu trudnem i wdzięcznem, podniesienia poziomu kulturalnego służby miejskiej — jest to dla nich prawdziwy dzień tryumfu, przy którym bledną wszelkie światowe powodzenia i zaszczyty.

Zwiedzamy najprzód suteryny, gdzie mieszczą się urządzenia gospodarskie, czysta i obszerna kuchnia, pralnia elektryczna, pokój dezynfekcyjny, suszarnia bielizny; przechodzimy potem na parter. Tam znajduje się kilka pokoi dla chorych zamożniejszych, mogących uiścić minimalną cenę za pobyt i wyżywienie.

Na pierwszem piętrze mamy dopiero właściwe sale dla bezpłatnych chorych, nie różniące się jednak niczem od poprzednich; ten sam wykwint czystości, to samo wzorowe pod każdym względem urządzenie. Tuż przy nich mieści się sala operacyjna. Uprzejmy dr. Zaborowski naciska guzik od prądu elektrycznego, fale światła zalewają salę. „Mamy tu oświetlenie siły 250 świec, gdy Filharmonia ma 300", mówi z uśmiechem i pokazuje dalej pokój kąpielowy, dwie sale porodowe, przyrządy do sterylizacyi wody i opatrunki i wreszcie umywalnię oddzieloną olbrzymią taflą lustrzaną od innych ubikacyi. Znajdujemy tam jeden szczegół, który możemy obserwować po raz pierwszy. Przy ścianie stoi rodzaj szeslonga, urządzonego z ruchomych tafli szklannych, układają na nim chore, które mają się poddać operacyi — są to najczęściej te kobiety, które *w swojem życiu nigdy nie używały kąpieli*. Puszcza się na nie silny prąd wody, reszty zabiegów dopełnia szczotka i tym sposobem tylko mogą uniknąć zakażenia się po operacyi.

Zwracaliśmy już uwagę w „Bluszczu" na brak szkół dla akuszerek, zaznaczając usiłowania, jakie czynią lekarze szpitalni w miastach prowincyonalnych, aby wyszkolić pewien zastęp włościanek do pomocy położniczej. Z otuchą możemy stwierdzić, że wzmaga się w ostatnich czasach ruch w kierunku oddziaływania na lud, aby pozbywał się wiekowych przesądów, wpływających fatalnie na zdrowie matek i dzieci.

Szpital św. Zofii zapełni u nas dotkliwe braki na tem polu.

Założono przy nim szkołę dla akuszerek; jest w niej miejsce dla 40 kobiet i te mają podaną wiedzę fachową w sposób niezmiernie ułatwiony. Tak jak wszędzie trzeba i tu uwzględniać fatalny stan wykształcenia elementarnego w kraju, przyjmować więc będą kobiety znające zaledwo sztukę czytania i pisania, wszelkie więc wykłady odbywać się muszą metodą poglądową i uzupełniane będą obsługą położnic pod osobistym kierunkiem lekarzy. Opłata za naukę wynosi 100 rs. rocznie, uczennica zdobywa cenzus rządowy i prawo praktyki.

Ofiarność społeczeństwa powinna stworzyć przy szpitalu bursę dla niezamożnych dziewcząt włościańskich, któreby wiedzę tam czerpaną roznosić mogły wśród zagród wiejskich.

Powiedzieć jeszcze musimy w jaki sposób powstała ta instytucya, którą poszczycić by się mogły wszystkie stolice Europy.

Inicyatorem i właściwym twórcą zakładu jest dr. Zaborowski. Ordynując w przytułkach miejskich, widział, że 3000 kobiet rocznie umiera z gorączki połogowej, będącej następstwem niechlujstwa i zaniedbania aseptyków. Zapragnął więc dać miastu szpital zbudowany i urządzony podług najnowszych wymagań wiedzy lekarskiej, —dla swej myśli pozyskał pp. Goldstandów, którzy ofiarowali 35,000 rb.

Suma ta była za małą — dr. Zaborowski kołatał więc przez lat kilka do znanej u nas z martwoty Rady dobroczynności publicznej, dopiero jednak zarządzający wydziałem szpitali przy magistracie warszawskim, p. Kowalewski, zabrał się energicznie do dzieła i wyjednał od miasta 65,000 rb. i z tą sumą przystąpiono do budowy. Nie możnaby było jednak postawić szpitala na tak wysokim kulturalnym poziomie, gdyby nie wprost niezwykła ofiarność naszych firm technicznych i budowlanych. Oddały one swoją pracę całkiem bezinteresownie, pretendując tylko do zwrotu kosztów zużytych materyałów, tym tylko sposobem cena całego budynku wraz z wzorowemi urządzeniami mogła wynieść 100,000 rb. Pozostaje jeszcze pytanie, czy ta nowo-założona instytucya będzie mogła zaspokoić potrzeby całej ludności niezamożnej naszego miasta — obliczenia wykazują, że w ciągu roku będzie mogła dać czasowe schronienie 13,000 kobietom rodzącym, co nawet na 800,000000 tysięczną ludność jest już bardzo wiele. Przygarniając zaś matki z najniższego proletaryatu, nie obeznanego zupełnie z zasadami czystości i hygieny, będzie zarazem szkołą i przykładem i mieć może nieobliczone kulturalne znaczenie.

D. K.

□□□□□□□□□□

Z Tow. badań nad dziećmi.

Pierwsze powakacyjne zebranie poświęcono wyłącznie sprawozdaniu z kongresu pedologicznego w Brukselli, które referowała bardzo obszernie p. M. Stefanowska. Czytelnicy nasi znają treść obrad kongresu z dwóch numerów „Bluszczu" z m. września; Następne zebranie obejmowało dwa referaty: w pierwszym omawiała p. A. Szycówna „wypracowania uczniów jako przedmiot studyów psychologicznych." Zacząwszy od uwag ogólnych, kładła mówczyni nacisk na umiejętny wybór tematów do wypracowań; powinny one mieścić się w sferze pojęć odpowiednich do stopnia rozwoju dziecka, tylko bowiem przedmiot zrozumiany i interesujący dla ucznia pobudzi go do szerszego wypowiedzenia się. Najlepsze są tematy, w których uczeń czerpie materyał z własnych obserwacyi, jako też i te, które pozostawiają szerokie pole dla dopełnień jego wyobraźni; tu uczeń wypowiada się szczerze, a wypracowanie takie, będąc wiernem odzwierciedleniem jego pojęć, służyć może jako przedmiot badań psychologicznych. Dla możności zestawienia tego materyału psychologicznego w większej ilości, zainicyowała przewodnicząca projekt połączenia, komisyi Tow. badań z komisyą, która dla tych samych zadań utworzyła się w Związku nauczycielskim. Projekt ten przyjęto i obecnie obie komisye łącznie pracują.

W drugim referacie rozbierał Dr. Chodecki „fizyologię i psychologię okresu dojrzewania płciowego." Ważnym tym okresem rozwoju, jak zaznaczył na wstępie prelegent, więcej się u nas zajmuje beletrystyka niż psychologia pedagogiczna, a przecież w przełomie tym dokonywają się tak zasadnicze zmiany w całym ustroju, że wychowawcy szczególniejszą baczność poświęcać im powinni.

Sprawy fizyologiczne oddziaływają wtedy silnie na stronę psychiczną, a zmiany rozpoczynają się w pokładzie podświadomym, trudnym zarówno do badania, jak i opanowania. Pomoc wychowawcy-psychologa jest tu niezbędną, gdyż młoda istota wchodzi w tę fazę, w której sama siebie nie rozumie. Prelegent ze zwykłą sobie sumiennością i gruntownością przedstawił symptomaty owego psychicznego przełomu, wskazując zarazem sposoby dodatniego wychowawczego oddziaływania.

Na ostatniem posiedzeniu zajmowano się psychologią nauki czytania a referentka tego przedmiotu, pani Lublinerowa, przedstawiła zgromadzonym nowy elementarz swego pomysłu. Zasada tego elementarza opiera się na metodzie syntetycznej, wzrokowej, polegającej na czytaniu całych wyrazów. Od elementarza Falskiego odróżnia się system pani Lublinerowej tem, że kartki są ruchome i mogą być dowolnie według uznania nauczycielki wybierane. Nad tym tematem rozwinęła się ożywiona dysputa, w ogóle przyznać trzeba, że ulepszenie metody czytania pozostaje jeszcze kwestyą otwartą; dopiero dłuższe doświadczenie przekona, który z nowych systematów okaże się najpraktyczniejszym i najwięcej pedagogicznym.

W końcu zebrania p. Raynerówna odczytała krótki komunikat, w którym wskazała potrzebę utworzenia nowej komisyi, wyłącznie zajmującej się badaniem charakteru dzieci. Wniosek ten przyjęto, a kilka osób zgłosiło swój udział do nowopowstającej komisyi.

W końcu przeszłego miesiąca odbył się staraniem Towarzystwa odczyt dra Brudzińskiego: „O różnych typach dzieci nienormalnych." Prelegent wyłożywszy fizyologiczne zasady rozwoju organizmu dziecięcego, wskazał główne punkty, w których ogniskują się przyczyny tamujące normalny przebieg spraw psychicznych. Wczesne zauważenie tych zakłóceń, a następnie racyonalne leczenie takowych, wydaje bardzo dobre wyniki. W końcu odczytu wypowiedział prelegent uwagi specyalnie naszego narodu dotyczące.

Badania wykazują, że społeczeństwo nasze w ostatnich czasach liczy wyższy procent dzieci nienormalnych, niż inne narody. Wpływają na to zapewne ogólne warunki, w których żyjemy, tem większą zatem baczność zwrócić powinniśmy na grożącą nam nową klęskę: stopniowej degeneracyi. Pierwszem zadaniem, jakie w tym celu podjąć nam należy, powinno być utworzenie (przy samorządzie) osobnych szkół dla dzieci nieudolnych umysłowo.

Odczyt odbył się w zapełnionej szczelnie sali Uranii; ze względu jednakże na tak niezmiernie żywotną treść, żałować wypada, że nie był wypowiedziany w większej sali, wobec liczniejszego audytoryum. Mamy jednakże nadzieję, że to poważne ostrzeżenie, wypowiedziane w obecności przedstawicieli naszego świata naukowego i pedagogicznego, nie przebrzmi bez echa i wyda pożądane następstwa w formie akcyi społecznej.

Ostatnie zebranie poświęcono Binet'owi, zmarłemu w tym roku uczonemu francuskiemu. Panna Szycówna rozbierała prace tego

autora z zakresu filozofii i psychologii, a pani Zylberowa mówiła o jego działalności na polu badania dzieci nienormalnych.

Rozbiorowi dzieł znakomitego uczonego poświęcimy więcej miejsca w następnym numerze. *Z. B.*

□□□□□□□□□□□

Z życia Stowarzyszeń.

Odczyt p. Romany Pachuckiej w siedzibie równouprawnienia kobiet polskich, zasługuje na należne sobie wyróżnienie z powodu pogadanek o konferencyi w sprawie kobiecej poświęcanych u nas.

Prelegentka, w sposób żywotny traktowała niepokojący problem tragizmu współczesnego dziewczęcia w sprawach miłości, biorąc sobie za przedmiot rozważań konflikty podwójnej moralności.

Jaką być ma postawa dziewczyny, która wie, że bierze na siebie przez małżeństwo obowiązki zdrowego rodzicielstwa. Zdobyta przez mię świadomość olbrzymiego procentu chorób jakim podlega młodzież męzka, przekazując je na swe potomstwo, nakazuje jej stanąć już twardo w obronie przyszłych pokoleń. Nie chce być wspólniczką zbrodni wydawania na świat kalek fizycznych i moralnych. Co jej czynić wypada, wobec straszliwej statystyki, że na siedmiu kandydatów do małżeństwa tylko jeden nie podlega niszczącej chorobie. Chorobie, którą udziela swej żonie i dzieciom nieodzownie.

Życie i nauka wołają już na wsze strony o kres dla tych posiewów zwyrodnienia, o tamy dla tych bezprawi.

Jaką ma być wobec tego postawa kobiety, świadomej ogromów tego zła? Jaką postawa dziewczyny polskiej, która swoją rodzinę i naród ocalić pragnie od zagłady.

Odpowiedź prelegentki wypadła bez zastrzeżeń na korzyść dobra ogólnego, którem podporządkować należy nawet swe własne szczęście, w miłości, o ile o szczęściu rodzin w tych warunkach mówić wogóle można. Pogląd ten zasługuje na uwagę jako wyraz przekonania młodego pokolenia naszych wyzwolenek, ich nowy ton protestu.

Wysuwa się tu jako konieczność domaganie się świadectwa lekarskiego przed zawarciem ślubu. Tego aktu ostrożności, nakazującej domagać się winna, według młodziuchnej prelegentki, sama kandydatka do ślubnego ołtarza od przyszłego swego towarzysza życia. Nie czas na niewczesną pruderyę, gdy życie woła o ratunek!

Kiedy przed laty dwoma w artykule mym, „Wynaturzenia“ stawiałam w Bluszczu wniosek niezbędności świadectw lekarskich przed ślubem, poczytywano mi za wielką śmiałość inicyatywę w tym kierunku w słowie drukowanem.

Życie czyni swoje. Teorya wchodzi w nerwy jego żywotne. Ziarna najświętszego z protestów, na jakie zdobyć się musi kobieta—wolny człowiek, wydaje już swe plony. Ta postawa kobiety nowej ma już po swojej stronie i znaczny ogół młodzieży męzkiej, ideał czystości wyznającej. Dzielną dłoń podaje mi tu i nauka. Świat w tem—naprzód idzie pewnym krokiem. *P.*

Każda matka

dbająca o zdrowie swych dzieci, daje im na śniadanie jedynie

Owsiane Kakao Wedla

które łączy w sobie łatwostrawność kleiku z przyjemnym smakiem czekolady, zalecane przez lekarzy.

Ze stowarzyszeń kobiecych.

Kobiety w utworach Tołstoja, były tematem odczytu p. Muszkowskiego w Polskiem Stow. Równouprawnienia, w d. 29 z, m. Scharakteryzowawszy psychologję stosunku świata męzkiego do świata kobiecego, od czasów biblijnych poprzez Grecję, Rzym, Średniowiecze, renesans i romantyzm, prelegent poddał analizie krytycznej stosunek do kobiety Tołstoja, jako artysty—twórcy: moralizatora—ideologa. W najwcześniejszych utworach genjalnego starca z Jasnej Polany, znać było jeszcze silny wpływ bajronistycznego romantyzmu Lermontowa, na podkładzie platonicznym. Wiek dojrzały przyniósł utwory skończone, pulsujące życiem, grające ciepłem przepysznych barw natury—to postacie Nataszy Roztomow z „Wojny i Pokoju“, oraz Anny Karninej i Katarzyny Masłowej, Są to kobiety z gatunku nieprzepartych czarodziejek, władających mocą odczuwania i wywoływania wielkich wrażeń, to wcielone uzmysłowienia miłości, które pokochać musi każdy mężczyzna.

Po tych kreacjach żywych, wyczutych w każdym szczególe, przeprowadzonych z niezbitą konsekwencją i malowanych cudnym pędzlem artysty, odmienił Tołstoj swój stosunek do kobiety—raczej powrócił do dawnego pojęcia platonizmu, wzmocnionego jeszcze zabarwieniem mistycznem, o biblijnej surowości i mocy. Nakazuje wprost unikać miłości jako zła—unikać, bo każda jej chwila oddala chwilę szczęsnego wyzwolenia ducha—najwyższego szczęścia,

Tak przekreślił potężną moc świata wielki pisarz w ostatnich latach swego życia, dochodząc już w swej krańcowości do życiowych absurdów.

Za pięknie opracowany, bogaty stylowo i ciekawie, indywidualnie ujęty odczyt, dziękowano gorąco prelegentowi.

N. J.

ZNAKOMITA w SMAKU

SMIETANKA STERELIZOWANA

„ANTONIEWO“

ABONENTOM 12½ k. ZA BUT. Z DOSTAWĄ

ZAMAWIAĆ TELEFONICZNIE 18-60

LABOR. PRZETWORÓW MLECZNYCH, Nowy-Świat 32 róg Foksal.

Ruch kobiecy zagranicą.

W niezmiernie barwny, pełen zapału sposób opisuje wielka działaczka feminizmu, p. Chapman Catt swoje wrażenia z wycieczki do Afryki południowej.

Odbyła ją w towarzystwie kilku towarzyszek pracy, amerykanek i holenderek, przez półtrzecia miesiąca zwiedzając kolejno Transwaal, Natal i Oranię. We wszystkich główniejszych miastach odbywały się konferencye, mityngi, odczyty, w Iohanesburgu, w Cape Town, w Durbanie, w Pretoryi podejmowano gości z wielkim przepychem—tak, że jak się dowcipnie wyraża p. Chapman Catt, zmuszoną była *odbywać* po trzy śniadania dziennie.

O kobietach burskich mówi przewodnicząca ligi z najwyższem uznaniem. Ich bohaterstwo równało się w czasie wojny bohaterstwu mężczyzn, obecnie są one dzielnemi obywatelkami, doskonałemi pracownicami na polu ekonomicznem i społecznem, silne, energiczne, inteligentne i pełne zapału kobiety burskie nie pozostają na końcu ruchu kobiecego — wszędzie potworzyły Stowarzyszenia i komitety propagandy praw wyborczych, które teraz, po bytności p. Chapman Catt, wejdą zapewne do Ligi Międzynarodowej.

Do tejże Ligi przystąpiła ostatnio Portugalia, reprezentowanych więc obecnie jest 26 krajów.

N. J.

Polityka daleka i blizka.

W ostatnich dniach stycznia odbył się w Pradze wiec w sprawie Chełmszczyzny, zwołany przez prezesa Miesztianske Besędy, p. Fuhricha. Jednym z najlepszych mówców, najgoręcej broniących praw ziemi chełmskiej, był prof. Maxa, wykazał on i dane historyczne i geograficzne, ilustrując swe przemówienie pokazem mapy Królestwa. Był to fakt niezmiernie poważny, zaznajomienia pokaźnej części społeczeństwa czeskiego ze sprawami naszej kultury, jak również administracyi, władz i sądownictwa, w kraju naszym obowiązujących. W zakończeniu zebrania wydano następującą uchwałę:

Zebrani na wiecu publicznym w Pradze d. 28 stycznia 1912 roku w sali Miesztianskie Besede, wysłuchawszy referatu o projektowanem utworzeniu gubernii Chełmskiej i wyłączeniu z jej granic Królestwa Polskiego, uznają projekt ten za niezgodny z zawarowaną całością Królestwa Polskiego, oraz zasadami demokratycznemi, przyjętemi przez wszystkich uczestników ostatniego zjazdu słowiańskiego w Pradze w r. 1908, według których każdy naród słowiański ma prawo swobodnego, kulturalnego, ekonomicznego i politycznego rozwoju u siebie.

Zakusy oderwania Chełmszczyzny uważamy za czyn przemocy żywiołów reakcyjnych i najenergiczniej protestujemy przeciw nim.

Do protestu tego w wysoce sympatyczny

MĄCZKA MLECZNA „BÉBÉ“. PRZYGOTOWANA Z CZYSTEGO MLEKA ALPEJSKIEGO, JEST WYBORNYM, NIEDAJĄCYM SIĘ ZASTĄPIĆ POKARMEM DLA SSAWCÓW I DZIECI.

Dostać można w Aptekach i Składach materjałów aptecznych.

SKŁAD GŁÓWNY

Tow. Akc. „Fr. Karpiński w Warszawie“

Elektoralna 35. Telef. 600.

sposób przyłączył się delegat postępowych sfer kolonii rosyjskiej w Pradze.

W tym samym tygodniu odbyła się wizyta gości angielskich w Petersburgu, w gmachu Dumy, w obecności anglików prowadzono rozprawy o Chełmszczyznie.

N. J.

□□□□□□□□□□□

Treść numeru:

Kraszewski, przez T. Kończyca. — Cień, przez Wiktora Gomulickiego. — Koleżanka Stefa, przez C. Walewską. — Zawrotne drogi, przez Tadeusza Konczyńskiego. — Hugo von Hofmannsthal, przez Eustachego Czekalskiego. — Z teatru, przez Gustawa Olechowskiego. — Szpital św. Zofii, przez D. K. — Z Tow. badań nad dziećmi, przez Z. B. — Z życia Stowarzyszeń, przez P. — Ze stowarzyszeń kobiecych, przez N. J. — Ruch kobiecy zagranicą, przez N. J. — Polityka daleka i blizka, przez N. J.

Do niniejszego numeru dołącza się:

1) Podwójny dodatek mód.
2) Tablicę krojów.
3) Dodatek powieściowy „Rebeka ze słonecznego potoku“ ark. 4.
4) Dodatek gospodarski.

Ogłoszenia.

Sarga **KALODONT**

Niezbędny

Krem i Eliksir do Zębów

Przy użyciu zęby pozostają **czyste, białe i zdrowe.**

K. Zaydler & L. Babińska

ul. Marszałkowska №. 77, tel. №. 123-35.

Przyjmuje wyprawy ślubne ze swoich i powierzonych materyałów. Wielki wybór haftów Szwajcarskich i krajowych valenciennes i koronek. Wyprawy dziecinne. Ceny nizkie.

Administracya „Bluszczu“ wysyła za zaliczeniem rysunki na wszelkie hafty po przedstawieniu motywów.

Magazyn konfekcyi damskiej i dziecinnej

„Bronisława“

Chmielna № 30. — — Telefon № 124-69.

Poleca: Kostyumy, suknie, bluzki, halki, szlafroki, matinki, spódniczki, peniuary, suknie reformowane, paltka i szuby, sukienki, garniturki dla chłopców oraz mundurki, dla Pensyonarek. Zamówienia z prowincyi wysyła się za zaliczeniem.

NAGRODZONA ZŁOTYM MEDALEM

Pracownia haftów artystycznych oraz koronkarstwa i sztuki stosowanej

„POLONIA“

Warszawa, Zielna 24 m. 17. Tel. 236-61.

SKŁAD **nici** Wądołkowskiej ul. CHMIELNA 11

Woalki, wstążki, koronki, galanterya i t. d. — — oraz przybory do robót ręcznych. — —

Sprzedaż w perfumer. skład. apteczn. i u fryzyerów.

NOWOŚĆ!

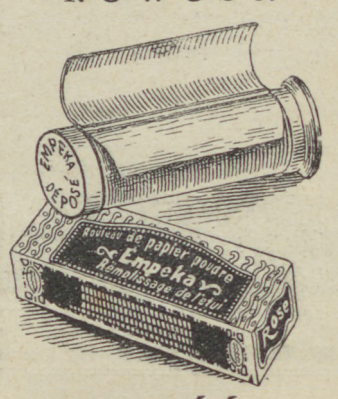

NOWOŚĆ!!!

nadzwyczaj hygieniczny, ekonomiczny i praktyczny w użyciu jest

Papier Poudré

w niklowym aparaciku

„EMPEKA“

Parfumerie De La Follie Paris Londres ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

Jen. Repr. na Królestwo i Rosyę

Jan Sroczyński, Warszawa, Złota 23, telefon 212-80.

Niema Siwych Włosów

kto używa **Teinture Vegetal**

D-ra chemji I. Tarin w Paryżu. Teinture Vegetal NATYCHMIASTOWO i TRWALE niecdbarwiając przywraca włosom naturalny kolor. BARWI WE WSZYSTKICH NAJSUBTELNIEJSZYCH ODCIENIACH. SPRZEDAŻ DETALICZNA w Zakładzie perfumeryjno fryzjerskim.

M. SŁOMCZEWSKIEGO. Warszawa Al. Jerozolimskie 39, tel. 115-00

Hurtowy skład i wyłączna sprzedaż na Królestwo i Cesarstwo u firmy Z. DOBROWOLSKI WARSZAWA Chmielna 36, telefon 110-73.

Jak wyleczyć reumatyzm.

Książka którą wysyłam bezpłatnie wskaże wam.

Kilka lat temu cierpiałem bardzo na straszny reumatyzm we wszysikich częściach mego ciała. Lekarze i specyaliści tej chorobie nic pomódz nie mogli i wielu z nich nawet przyznali chorobę mą za nieuleczalną. Wtedy próbowałem korzystać ze środków ogłoszonych w gazetach, lecz i z tych również żadnej korzyści nie otrzymałem, tak dalece, iż już prawie straciłem nadzieję wyleczenia się. Lecz przedtem aby oddać się zupełnie rozpaczy postanowiłem osobiście zbadać tę chorobę i przyczyny jej z nadzieją iż wtedy zdołam znaleźć środek do leczenia. Po upływie kilkuletniej usilnej pracy zdołałem w końcu wynaleźć środek który przewyższył wszelkie moje oczekiwania. Co lekarze nie mogli znaleźć dla mnie, sam znalazłem i obecnie jestem zdrów. Poczem zawiadomiłem o odkryciu swem tysiącom cierpiącym na tę chorobę i oni również teraz wyleczeni zostali.

Z powodu aby wszyscy cierpiący na reumatyzm lub podagrę wiedzieli jak można wyleczyć się z tej choroby, wydałem książkę w której bardzo wyraźnie opisałem jak można w zupełności wytępić nieprzyjaciela tego z organizmu. Z wielką chęcią gotów jestem wysłać zupełnie bezpłatnie jeden ekzemplarz tej ilustrowanej książki każdemu cierpiącemu na reumatyzm lub podagrę. W książce tej wskazane jak łatwo i prędko można u siebie w domu wyleczyć tę chorobę. Nie odkładajcie na chwilę, lecz niezwłosznie napiszcie aby wysłano Wam książkę tę Napiszcie swe imię, nazwisko i pełny adres na 4-ro kopiejkowej odkrytce i odeślijci pod następującym adresem. M. E. Trayser, № 143 Bangor House, Shoe Lane. London, England. E. C.

Precz z froterką! Polecany do **podłóg, posadzek** jak również **do odświeżania mebli** - specyalny lakier Ameryk **LACQUERET** (bakieret) największ. w świecie fabr. **„Standard“** w Nev. Jorku.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

Hurt. sprzed. M. i J. Herszfinkiel, Warszawa Żelazna Brama № 6, tel. 94-83. Na prowincyi i w Cesarstwie poszukiwani są hurtowi odbiorcy.

Najnowsze Roboty Ręczne

rysowane, zaczęte i gotowe, oraz wszelkie do nich dodatki, Motywy i koronki: Cluny, Filet, Flandre, Irlande i Venise. Story, zazdrostki, kapy, serwety, poduszki, abażury i t. d. ręcznie haftowane — gotowe i na zamówienia.

Pracownia własna

Czysta № 8, telef. № 34-67. **Józef Rozmanit.**